



1

SARAH SPRINZ

DUNBRIDGE  
ACADEMY

*Tam gdzie ty*

moondrive

**OTWARTE**  
[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Sarah Sprinz  
Dunbridge Academy  
Tam gdzie ty

Przełożyła Daria Kuczyńska-Szymala

Drogie Czytelniczki i drodzy Czytelnicy,  
powieść ta zawiera wątki, które mogą wywołać silne emocje.  
Ostrzeżenie znajduje się na stronie ###.  
Życzymy Wam wszystkim wspaniałej książkowej przygody.  
Wasza autorka i wydawnictwo

*Dla wszystkich tych,  
którzy wiecznie dokądś pędzą.  
Mam nadzieję, że znajdziecie kogoś,  
dla kogo warto się zatrzymać.*

Wszystko, czego (jeszcze) nie robiłem,  
pragnę robić z tobą

William Chapman

## PLAYLISTA

*Baby Luv* – Nilüfer Yanya  
*Apricots* – May-a  
*Older* – Shallou and Daya  
*Hope Is a Dangerous Thing For a Woman* – Lana Del Rey  
*Stone* – Jaymes Young  
*All Three* – Noah Cyrus  
*Happier Than Ever* – Billie Eilish  
*Edge of Midnight (Midnight Sky Remix)* – Miley Cyrus feat  
Stevie Nicks  
*Meet Me in The Hallway* – Harry Styles  
*A.M.* – One Direction  
*Wonderland* – Taylor Swift  
*Runaway* – Aurora  
*Perfectly Out of Place* – Dreams We've Had  
*Talk* – Hozier  
*Sweat* – Zayn  
*A Little Death* – The Neighbourhood  
*Fine Line* – Harry Styles  
*My Tears Are Becoming a Sea* – M83  
*Mind Over Matter (Reprise)* – Young The Giant

*The Beach* – Wolf Alice  
*Run Boy Run* – Woodkid  
*Right Where You Left Me* – Taylor Swift  
*Ready To Run* – One Direction



## DOKĄDKOLWIEK

– Przykro mi – mówię, choć to wcale nie jest to, co chcę powiedzieć. W najmniejszym stopniu. Poddaję się w najgorszym możliwym stylu, bo nie mam innego wyboru.

Mój głos jeszcze nigdy nie brzmiał tak bezbarwnie. Jakby było mi obojętne, co to oznacza, ale jest wręcz przeciwnie. Absolutnie nie jest mi to obojętne.

*Coś ty zrobił? Coś ty zrobił? Coś ty zrobił???*

To, co należało zrobić. No jasne. A może nie? Dopiero co byłem tego pewien, ale teraz nachodzą mnie wątpliwości.

Odwracam się, sięgam do ciężkiej klamki z czarnego metalu. Mam nogi jak z waty. Nie wiem, jak udaje mi się pchnąć ciemnobrązowe drewniane drzwi i wyjść z gabinetu dyrekcji, trzymając się prosto. Nie wiem. Nic już nie wiem.

Słyszę głosy na korytarzu, śmiech, który odbija się echem od wysokich ścian. Dźwięk szybkich kroków na starych nierównych płytkach podłogi krużganku. Promienie słońca wpadają przez szyby ostrołukowych okien, pyłki kurzu migoczą w powietrzu.

Obracają się ku mnie twarze, inni uczniowie i uczennice uśmiechają się do mnie, pozdrawiają mnie tak jak zawsze,

ale ja nie odpowiadam, bo nie mogę. Mijam ich w pośpiechu, choć nie mam żadnego celu. Muszę odejść, ale nie wiem dokąd, bo nie mam już domu.

Ta myśl jest niczym cios pięścią w splot słoneczny, ale taka jest prawda. Nagle czuję, że muszę się zatrzymać i skulić. Jednak biegnę dalej.

Moje stopy mkną po płytkach, wybierając drogę, którą mógłbym pokonać z zamkniętymi oczami. Przez wewnętrzny dziedziniec do mojego skrzydła. Fasady z brązowej cegły, po których wspina się bluszcz. Wysokie okna ze szprosami, ciemne dachy, szpiczaste wieżyczki. Widzę to wszystko, ale nic już nie czuję. Wydeptane schody, z pierwszego piętra wychodzą mi naprzeciw dziewiątoklasiści, rozpoznawszy mnie, zwalniają, by potem szybko zbiec na dół. Ciemne ciężkie drzwi do naszego skrzydła są zamknięte, muszę oprzeć się o nie całym ciężarem, sięgam do kieszeni spodni po klucz i wchodzę do pokoju.

Cisza.

Chwytam za walizkę, która stoi obok szafy, i zaczynam się pakować.



## ROZDZIAŁ 1

### Emma

Nie zadzwonił. Cholerny budzik po prostu nie zadzwonił. Milczał, bo padła mi komórka. Jak można zapomnieć podłączyć telefon na noc do ładowania, gdy następnego dnia leci się na wymianę uczniowską do Szkocji, żeby spędzić tam rok w szkole z internatem? No jak? To brzmi jak kiepski żart, ale z przykrością stwierdzam, że żartem nie jest.

Okropnie zasnęłam. W dzień wyjazdu. A mama w żadnym razie nie może się o tym dowiedzieć, bo się załamie. Kiedy wczoraj się okazało, że z powodu durnego strajku personelu pokładowego we Francji nie zdąży wrócić, żeby polecieć ze mną do Edynburga, jak planowałyśmy, była bardzo sceptyczna. Jakby siedemnastolatka nie była w stanie sama dotrzeć na lotnisko i polecieć do Szkocji.

Co tu dużo mówić: Najwyraźniej miała rację.

Zwykle podłączam komórkę do ładowania przed snem, ale widocznie wczoraj zapomniałam. W końcu nieczęsto się zdarza, że człowiek do późnej nocy wypłakuje sobie oczy, bo nagle sobie uświadamia: może wyjazd do Szkocji na cały rok

to jednak głupi pomysł. Może podświadomość chciała mi dać ostatnią szansę na zreflektowanie się. Żeby uniknęła wielkiego błędu – nie zdążyła na samolot i nie została następnego dnia nową uczennicą w Dunbridge Academy, tylko cieszyła się resztą wakacji i na początku września poszła do jedenastej klasy Liceum im. Heinricha Heinego. Ale tak się już nie da, bo wszyscy moi znajomi wiedzą, że przez rok mnie nie będzie. Nie mogę się skompromitować i stchórzyć. Wyszłoby na to, że sama nie wiem, czego chcę. A przecież doskonale wiem, czego chcę. I dlatego muszę jechać do Edynburga.

Byle jak wrzucam ostatnie rzeczy do kosmetyczki, jednocześnie szorując zęby.

Muszę tam jechać. Wiem to, odkąd znalazłam tamtą kasotę i do świtu leżałam, nie śpiąc i odsłuchując na starym walkmanie piosenkę. *For Emma. Dla Emmy*. Tytuł niczym obietnica, która ze mnie drwi.

Od tamtej pory minęło dwa i pół miesiąca i w głębi duszy jestem przekonana, że zostałam przyjęta do tej szkockiej szkoły tak szybko, bo mama wykorzystwała jakieś swoje kontakty. W tym jest znakomita. Można odnieść wrażenie, że jako adwokatka wszędzie ma kogoś, kto jest jej winien jakąś przysługę. Tak właściwie byłam pewna, że robię słusznie. Choć mama nie rozumiała, dlaczego nagle jednak chcę pojechać do tego internatu, mimo że przez lata odmawiałam, kiedy mi to proponowała. Nie mogę jej powiedzieć, że muszę odnaleźć swojego ojca. Że jego głos na kasecie brzmi zupełnie inaczej niż w moich wspomnieniach. Że slychać go tak blisko, jakby jego wargi cały czas muskały mikrofon, kiedy śpiewa *Dla Emmy*. Że słuchałam tej piosenki, czując gęsią skórkę i serce trzepoczące w piersi. Słuchałam jej w kółko przez całą noc, a potem już ani razu.

Że *Dla Emmy* nie zniknęła nawet wtedy, gdy wrzuciłam jego nazwisko do Google'a po raz pierwszy od lat. Jacob Wiley, który wciąż czeka na swój wielki sukces i wciąż jest facetem

z gitarą, ale bez sumienia, bo jestem pewna, że ktoś, kto porzuca rodzinę dla marzenia i nawet się za siebie nie ogląda, sumienia mieć nie może.

*Jacob Wiley (ur. w Glasgow) – szkocki piosenkarz i kompozytor.*

I znów tam mieszka, przynajmniej według wpisu w Wikipedii. Jest w Szkocji, więc i ja muszę do Szkocji. Wiedziałam to, gdy pierwszy raz dobrowolnie weszłam na stronę internetową Dunbridge Academy.

– Na lotnisko poproszę – sapię, niedługo potem wsiadając do taksówki.

Mam ochotę zamknąć oczy, żeby nie widzieć zegara, ale niestety świeci z wyrzutem, kiedy tylko sięgam po komórkę. Jest strasznie późno. Ale jestem głupia. Muszę nadać bagaż, o ile jeszcze będą go przyjmować, przejść przez kontrolę bezpieczeństwa i dotrzeć do bramki. I wszystko to w ciągu godziny i dwudziestu minut, bo po tym czasie samolot odleci – w najlepszym przypadku ze mną na pokładzie.

Nie mam pojęcia, co zrobię, jeśli się nie uda. Na pewno później jest jeszcze jakiś lot do Edynburga, ale czy można tak po prostu przebukować bilet, jeśli ktoś się spóźni na swój samolot, i to wyłącznie z własnej winy?

Mama by wiedziała. Ale dopóki to nie będzie konieczne, nie powinna się dowiedzieć, że nie potrafię nawet zdążyć na samolot. Mogłaby to zinterpretować jako znak, że tak naprawdę wcale nie chcę lecieć do Dunbridge Academy. A to żaden znak. Tylko głupi, głupi przypadek.

Wysłałam jej wiadomość na WhatsAppie. Piszę, że właśnie jestem w drodze do bramki. Właściwie to prawda.

Jest wpół do ósmej w niedzielny poranek, ale korki we Frankfurcie nie znają litości. Zamykam oczy, kiedy taksówka jedzie coraz wolniej i wolniej. Boże, jestem zupełnie bezradna. Nie zdążę na ten samolot i za późno dotrę do internatu. Od samego początku będę tą nową, której nie udało się przybyć punktualnie na rozpoczęcie roku szkolnego.

Tętno mi przyśpiesza, kiedy całą wieczność później wyskakuję wreszcie z taksówki, zabieram bagaż i płacę kierowcy. Często latam, ale lotnisko we Frankfurcie zawsze było i będzie wyzwaniem, nawet kiedy się ma wystarczająco dużo czasu.

Ruszam biegiem. Hala odlotów jest pełna ludzi z bagażami. Prawie nikt nie robi mi miejsca, chociaż widzą, że się śpieszę. Po wewnętrznej stronie ud czuję zakwasy po piątkowym treningu. Ostatnie ćwiczenia z koordynacji i biegów w zmiennym tempie z koleżankami z drużyny. „Spodoba ci się, Emmi, też byłam w Dunbridge w drużynie lekkoatletycznej”. Słyszę w głowie głos mamy i modle się, by miała rację.

Nogi odmawiają mi posłuszeństwa, bo trudno jest ciągnąć dwie walizki, a do tego czuję lekkie klucie w boku. Z trudem odrywam stopy od podłogi, lecz się nie zatrzymuję. Nigdy się nie zatrzymuję, zanim nie osiągnę celu. Zawsze biegnę do końca. Nawet wtedy, kiedy niemal wymiotuję z wysiłku. Biec dalej, biec, wszystko jedno dokąd. Mój ojciec w czerwonym wagonie pociągu ekspresowego, który coraz bardziej przyśpiesza, a ja biegnę za nim coraz prędeziej. Ale nigdy nie dość prędko.

Chyba wyglądam na bardzo zdesperowaną, bo pracownicy linii lotniczej otwierają dodatkowe stanowisko i mogę wrzucić pierwszą walizkę na taśmę. Kobieta za ladą patrzy na cyfrowy wyświetlacz zegara, wysoko unosząc brwi, ale potem bez słowa przykleja etykiety na moim bagażu. Może się zlituje. Mam nadzieję, że tak.

– Musi się pani pośpieszyć, bramka już się zamyka, ale dam kolegom znać, że pani już idzie.

– Dziękuję – rzucam zdyszana, odbieram dokumenty, odwracam się i robię jedyną rzecz, w której jestem świetna.

Biegnę, najszybciej jak potrafię.



## ROZDZIAŁ 2

### Henry

Nienawidzę biegać.

Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę...

Jest to męczące nawet wtedy, kiedy nie musi się po opóźnionym dziesięciogodzinnym locie pędzić z jednego końca wielkiego lotniska na drugi. Właśnie dlatego zwykle unikam przesiadek we Frankfurcie – bo nawet półtoragodzinną przerwą między lotami nigdy nie wystarcza. A już szczególnie, gdy samolot się spóźni. Chciałbym zapisać to sobie gdzieś wielkimi literami, żeby pamiętać następnym razem, kiedy będę rezerwował lot powrotny z Nairobi do Edynburga.

– Przepraszam, sorry... – Do cholery, dlaczego ludziom tak trudno przestrzegać prostej zasady zostawiania na tych nieskończone długich ruchomych chodnikach miejsca po lewej stronie dla tych, którzy się śpieszą? – Mam przesiadkę, przepraszam.

Przepycham się, ignorując klucie w klatce piersiowej. Okropność – nie mogę biec nawet pięciu minut, żeby nie poczuć, że zaraz dostanę napadu astmy. Plecak na moich ramionach nagle waży tonę, a bluza z kapturem jest o wiele za ciepła, ale

zauważyłem to dopiero wtedy, kiedy razem z innymi pasażerami stałem w przejściu pośrodku boeinga i czekałem, aż będę mógł wysiąść. Najchętniej zatrzymałbym się i ściągnął ją z siebie, ale po pierwsze nie mam na to czasu, a po drugie teraz to już wszystko jedno.

Potykam się, kiedy schodzę z ruchomego chodnika. Moje ciało chce się przesuwac po nim dalej, a mięśnie ledwo nadążają ze zrekompensowaniem brakującej prędkości. Boże, muszę znowu zacząć regularnie biegać, jeśli mam dostać z WF-u jakąś przyzwoitą ocenę. Może powinienem wziąć przykład z Theo. Mój starszy brat zawsze chodził się uczyć na bieżnię do siłowni internatu. „Mózg wtedy o wiele szybciej przyswaja nowe treści, tak mówi nauka, Henry”. I zgodnie z nauką serce za chwilę wyskoczy mi z piersi, jeśli nie zwolnię i...

Chwileczkę. Bramka B 20. B.

Zatrzymuję się tak gwałtownie, że zalewa mnie potok przekleństw, chyba po niemiecku. Puls nadal bębni mi w uszach, a ja wbijam wzrok w tablicę nade mną. Może za mało krwi dopływa mi do mózgu i mam halucynacje. A może naprawdę tam jest napisane Bramki C-D.

Szlag. Gdzieś musiałem źle skręcić. Dlaczego moja bramka do przesiadki zawsze znajduje się na drugim końcu lotniska, bez względu na to, gdzie się przesiadam i dlaczego...

Głuchy dźwięk rozlegający się w tej samej sekundzie, w której nie oglądając się za siebie, gwałtownie się odwracam, nie brzmi dobrze. I ja też dobrze się nie czuję. Zapomniałem, że można wycisnąć komuś całe powietrze z płuc, jeśli się na niego wpadnie z impetem. Łąduję na gładkich płytkach między kolanami jakiejś dziewczyny. Zapięcie plecaka odskakuje, a jego zawartość rozsypuje się przed nami na podłodze. Butelka z wodą, słuchawki, gumy do żucia, torebka ze słonymi precelkami z samolotu, kabel do ładowania komórki i mój paszport. Ale ja tego nie widzę. Widzę tylko jasne sięgające podbródka włosy i intensywnie szaroniebieskie oczy.



– Sorry, sorry... – zaczyna i mówi coś dalej.

Mam nadzieję, że brak zrozumienia jej dalszych słów nie wynika z tego, że uderzyłem się przy upadku w głowę. To chyba niemiecki, ale w jej ustach nie brzmi tak twardo.

– Nic ci się nie stało? – pytam.

Właściwie oczekuję, że umilknie, gdy tylko się zorientuje, że musi odpowiedzieć po angielsku, bym ją zrozumiał. Ale ona zmienia język, nie wahając się ani sekundy, i... O nieba, dlaczego to wydaje mi się takie słodkie?

– Tak, tak mi się wydaje – odpowiada. – A ty? Przepraszam, nie powinnam tak na oślep biec, ale...

– Nie, nie, w porządku. To ja nie uważałem. – Mój mózg jednak pracuje, jak należy.

Instynktownie sięgam po butelkę, która toczy się w stronę mijających nas w pośpiechu ludzi. Kiedy ją chwytam, jej wzrok przesuwają się po moich rzeczach. Szybko, jakby się zastanawiała, czy musi mi pomóc przy ich zbieraniu, czy nie.

– Przepraszam, ja... – Milknie, kiedy podnoszę na nią wzrok. – Jestem okropnie spóźniona, mój samolot zaraz odlataje, a...

Przerywa jej głuchy głos lotniskowej zapowiedzi. Zrywa się, gdy z głośników rozbrzmiewa komunikat po niemiecku. A ja wstrzymuję oddech, kiedy powtarzają go po angielsku.

– Ostatnie wezwanie dla państwa Bennington i Wiley. Proszę niezwłocznie udać się do bramki B 20. Ostatnie wezwanie.

– Przepraszam... – Dziewczyna obrzuca mnie jednocześnie zdesperowanym i przepraszającym spojrzeniem.

– To ty? – pytam, a ona kiwa głową. – Edynburg?

– Ty też?

– Tak – odpowiadam.

Waha się. A potem schyla się po moje rzeczy.

– Okej, musimy się pośpieszyć.

Każde z nas chwytają po trzy przedmioty, upycham na samym wierzchu słuchawki i też zrywam się z podłogi. Paszport trzymam od razu w ręku.

- Wiley? – pytam i spoglądam na nią.  
- Emma – odpowiada i wskazuje kierunek, z którego przybiegłem. Ruszamy pędem. – A ty?

- Henry. Miło mi. – Jestem w stanie wypowiadać tylko pojedyncze słowa, bo znowu pali mnie w płucach. A może cały czas mnie w nich paliło. Zresztą wszystko jedno. – Daleko?

Pędzę przed siebie, choć powoli zaczynam zostawać z tyłu.  
Emma. Szarooka dziewczyna. Jej, jaka ona jest szybka.

- Nie wiem. – Zerka przez ramię i przytrzymuje sobie ramiączka plecaka. – Musimy pobiec szybciej.

- Nie potrafię szybciej.

- Ależ tak, potrafisz.

Myli się, do cholery. Może ona potrafi.

I do tego zdaje się robić to bez wysiłku.

- Nie, to tutaj! – Tuż przed następnym ruchomym chodnikiem łapie mnie za nadgarstek i ciągnie na prawo.

Faktycznie. Na tablicy widnieje napis Bramki B 35-I. Musiałem wcześniej minąć to miejsce.

Emma mamrocze po niemiecku jakieś przeprosiny, kiedy wyprzedzamy w biegu ludzi z wózkami na bagaże i omijamy małe dzieci.

Już zupełnie brakuje mi tchu, natomiast Emma ma jedynie lekko zarumienione policzki, choć jej klatka piersiowa wyraźnie się unosi i opada. Może to tylko paręset metrów, ale ten lotniskowy korytarz zdaje się nie mieć końca.

B 31.

B 29.

B 27.

Przy B 24 właśnie zaczął się boarding i pełno tam ludzi. Na samym środku przejścia. Jestem im niepomiernie wdzięczny, bo dzięki temu kilka kroków muszę pokonać spacerem. Emma znika mi gdzieś pomiędzy oczekującymi pasażerami, a ja zmuszam się znów do biegu.

Przy naszej bramce nikogo nie ma. Bardzo się wyróżnia spośród sąsiednich stref oczekiwania, gdzie zajęte są wszystkie miejsca. Za szklaną szybą widzę samolot, ale przy stanowisku nikt już nie stoi.

Emma zwalnia, kiedy też się orientuje, że dotarliśmy za późno. Cholera... Mam kolkę i przyciskam sobie dłoń do boku.

– Serio? – mruczy Emma. Po jej głosie w ogóle nie slychać, że ma za sobą tak męczący sprint. – Przecież dopiero co nas wywoływali...

– LH 962 do Edynburga? – woła jakiś mężczyzna.

Najchętniej rzuciłbym się na szyję stewardowi, który w tym momencie wychodzi z przejścia do samolotu.

– Tak!

– Bardzo dobrze, proszę przechodzić.

Próbuję nie sapać, kiedy wyciągam komórkę z kieszeni bluzy. Na pewno jestem czerwony jak burak. Emma w ogóle nie wydaje się zmęczona. Może ona nie jest człowiekiem?

Wyświetlam bilet na telefonie i podaję stewardowi paszport. Gdy mi go oddaje, przechodzę kilka kroków i czekam na nią. Emma ma swoją kartę pokładową wydrukowaną na papierze, co sprawia, że się uśmiecham. To też jest słodkie.

Emma dziękuje stewardowi, a kiedy na mnie spogląda, jej policzki są jednak lekko zarumienione. Chyba zaskakuje ją to, że na nią czekam. I w tym momencie jej wzrok przesuwają się z mojej twarzy na pierś. Widzę, jak wpatruje się w białe haftowane logo na granatowej bluzie. Zachodzące na siebie litery D i A na tle prostej tarczy herbowej ozdobionej listkami bluszczy. Emma je rozpoznaje. Widzę to w jej oczach i zanim zdąży coś powiedzieć, przeglądam w myślach minione osiem lat. Ale nie, to niemożliwe. Musi być nowa, w przeciwnym razie bym ją zauważył. Może nie znam imion wszystkich czterystu trzydziestu dwóch uczennic i uczniów Dunbridge, ale znam ich twarze. A tych nie zapominam.

– Chodzisz do Dunbridge Academy? – pyta Emma, a w jej głosie pobrzmiewa taki szacunek, że mam już pewność.

Czyli jest nowa. Tylko ktoś, kto zna tę szkołę jedynie z wyidealizowanych relacji w sieci, mógłby o to zapytać takim tonem.

– Tak – odpowiadam, a za Emmą pojawia się steward.

– Proszę się pośpieszyć!

Uśmiecha się szeroko, pokazując lśniąco białe zęby, ale robi to w przyjaźnie ponagląjący sposób, więc oboje natychmiast ruszamy biegiem. Emma spogląda na mnie raz po raz. Nie podoba mi się to, że nagle wydaje się taka skrępowana.

– To twój pierwszy rok?

– Tak.

Dziewczyna uśmiecha się leciutko, a ja najchętniej bym ją objął. Gdybym nie był totalnie spocony. Właściwie wtedy też nie. Przecież my się nie znamy. Ale dlaczego jest tu sama? Nowych zawsze przywożą rodzice. Nawet jeśli są z Arabii Saudyjskiej albo Meksyku. Spośród wszystkich krajów, z jakich pochodzą uczniowie naszej szkoły, Niemcy zdecydowanie nie są tym położonym najdalej.

– Ja tylko na wymianę – mówi, kiedy biegniemy korytarzem. Jest wąski, a wykładzina dywanowa na podłodze wycisza nasze kroki.

Nie podoba mi się, że Emma spuszcza oczy, kiedy to mówi. Wydaje się... nieszczęśliwa.

– Super. Świetnie mówisz po angielsku.

Gdy podnosi wzrok, natychmiast zauważam, że palnąłem coś niestosownego.

– Dziękuję – mruczy.

Chciałbym ją o wszystko wypytać. Skąd dokładnie jest, czy się denerwuje, takie tam, ale nie udaje mi się, bo właśnie docieramy do drzwi samolotu. Stewardesa już na nas czeka.

– Witamy na pokładzie – wita nas zniecierpliwionym uśmiechem.

– Gdzie masz miejsce? – pytam Emmę.

Pozostali pasażerowie mają już zapięte pasy. Wpatrują się w smartfony, które zaraz trzeba będzie przełączyć w tryb samolotowy, albo zerkają na nas poirytowani.

– Dwadzieścia siedem D – odpowiada Emma, spoglądając na mnie przez ramię. – A ty?

Szkoda... Przez chwilę rozważam, czy to byłaby bezczelność, gdybym teraz jeszcze poprosił kogoś o zmianę miejsca.

– Tutaj – odpowiadam, bo mijamy właśnie miejsce dwadzieścia dwa C, z brzegu, przy którym nie ma oczywiście nic wolnego. Kobieta na środkowym fotelu ma już w uszach zatyczki i nie wygląda na chętną do rozmowy.

– Ach, okej. – Emma się nie zatrzymuje. – To miłego lotu. Do zobaczenia, Henry.

– Tak. – Przelykam ślinę. – Miłego lotu.

## Emma

Środkowe miejsce w moim rzędzie jest wolne. Oczywiście. Zarezerwowane na nazwisko mamy, ale mama jest gdzieś w Nicei, a nie tu, obok mnie.

Dociera to do mnie dopiero wtedy, gdy Henry już usiadł, a stewardesa poprosiła, żebym nie rozpięła pasa, dopóki nie osiągniemy wysokości przelotu.

Siedzę więc, puszczając mimo uszu informacje dotyczące bezpieczeństwa przekazywane przez personel pokładowy, i próbuję zmusić Henry'ego spojrzeniami, żeby się do mnie odwrócił.

To nie działa. Henry wgapia się w telefon, widzę, że coś na nim pisze i z miną winowajcy podnosi wzrok, kiedy stewardesa najprawdopodobniej mówi mu, żeby włączył tryb samolotowy.

*Odwróć się, odwróć się, odwróć się.*

Mogłabym dać mu znać, żeby później przesiadł się obok mnie. O ile będzie miał ochotę. Bo nie mam pojęcia. A zresztą

wszystko jedno. Nie wiem nawet, czy sama tego chcę. Nie, to nieprawda. Wiem. Nie chcę. W żadnym wypadku. Wygląda na milego, ale to nie ma znaczenia. To facet. A przecież wiemy, co to oznacza. Złamane serce, wylane łzy, których się już nigdy nie odzyska. Bycie z kimś pół roku, żeby potem nagle dostać wiadomość, że on już jakoś tego nie czuje. Mam dość typów takich jak Noah z równoległej klasy albo mój ojciec, który odszedł i nigdy się już nie odezwał. A mimo to siedzę tutaj i lecę do Szkocji, żeby go odszukać, i nie mogę się powstrzymać od ciągłego zerkania na Henry'ego. Co ja wyprawiam?

Henry się nie odwraca, a im dłużej na to liczę, tym żałośniejsza wydają się sama sobie. Nie wiadomo, czy w ogóle jesteśmy w tym samym roczniku. Ta szkoła jest duża, może się już nigdy nie spotkamy. Szkoda by było... Boże, Emmo! Dość tego.

Przyglądam się jego ramionom w granatowej bluzie i zastanawiam się, ile ma lat. Pewnie jest w ostatniej klasie. Takie sprawe wrażenie. Pewnego siebie i wyluzowanego. Tak samo swobodnie zachowują się na korytarzu nasi maturzyści, jakby cała szkoła należała do nich, bo są tacy dorośli. Ale może w tym internacie wszyscy tacy są. Wkrótce się przekonam.

W każdym razie on się nie odwraca. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Wyciągam słuchawki z torby i włączam stary kawałek One Direction, bo zaraz startujemy i przyda mi się trochę błęgiego spokoju.

Dlaczego on się nie odwraca? Gdyby siedział obok mnie, mógłbym go wypytać o internat. Albo o coś innego. Dlaczego leci do Edynburga z Frankfurtu, skoro ma tak brytyjski akcent, że nawet nie muszę pytać, skąd jest? Wraca z wakacji? No to jak jest w tym internacie i czy kojarzysz może przypadkiem Jacoba Wileya? Nie? Szkoda, ale to w sumie też nieważne...

Mam obsesję.

Samolot stoi, ale silniki słychać coraz głośniejsze. Zaraz wciśnie mnie w fotel, a że przy startach i lądowaniach zawsze czuję się nieswojo, zamknę oczy. Tylko na chwilę. Aż osiągniemy

wysokość przelotu i będę na wpół pewna, że przeżyjemy. Choć slyszalam gdzieś, że lądowania są niebezpieczniejsze niż starty. Wszystko jedno... Nie myśleć o tym. Słyszę muzykę, a wszystko inne nie ma znaczenia. Po One Direction śpiewa Taylor Swift, a później Lana del Rey.

Od czasu do czasu leciutko rozchyłam powieki. Na wypadek gdyby Henry się odwrócił. Ale jedyne, co widzę, to jego łokieć na oparciu siedzenia i dłoń, na której opiera głowę. Domyślam się, że musi być okropnie zmęczony, bo co kilkanaście sekund jego głowa lekko pochyła się do przodu.

Czyżby miał za sobą nocny lot? Wskazywałyby na to ciemnie cienie pod jego oczami i spodnie do joggingu, które ma na sobie.

Kiedy nasuwa sobie kaptur bluzy na głowę i ze skrzyżowanymi ramionami opiera się o fotel, odwracam wzrok. Niegrzecznie jest patrzeć na nieznanomych, gdy śpią, ale spod kaptura wystają kosmyki jego ciemnych kręconych włosów, a jego oczy wydały mi się tak bardzo zielone. Ciemnozielone, jak mech. Jak zieleń w szkockiej kracie szkolnego mundurka, który będę od jutra nosić. Granatowy blezer z podbiciem z niebieskozielonego tartanu i haftowanym godłem na kieszonce na piersi. Białe koszule i dopasowane kolorystycznie krawaty.

Nie mogę przestać wyobrażać sobie Henry'ego w szkolnym stroju. Na pewno świetnie w nim wygląda. Głowa coraz mocniej opada mu na ramię. Gdyby siedział obok mnie, mógłby położyć ją na moim...

Boże, Wiley. Zamykam znowu oczy, a Lana śpiewa: „Hope is a dangerous thing for a woman”. Nawet nie wie, jak bardzo ma rację. A może jednak. Ktoś, kto pisze takie piosenki, pewnie wie, o co chodzi. Noah, następnego dnia w szkole. Jak mówi, że to i tak nie ma już sensu. A ja spokojnie przytakuję, bez żadnych uczuć, bez łez. Wszystko, byle nie być histeryczną byłą, która błaga, żeby został. Bo powinnam się była domyślić. Bo to się zawsze tak kończy, zawsze, ale to zawsze, i nic się na to nie poradzi, nieważne, jakby się chciało wierzyć

w dobro, które tkwi w drugim człowieku. Kiedy się robi ciężko, po prostu odchodzą i nikt nie jest w stanie ich powstrzymać.

„Nie potrzebujemy w naszym życiu żadnych mężczyzn, myszko Emmi”. To głos mamy i jakaś część mnie chce jej wierzyć. Bo ona rzeczywiście nie potrzebuje żadnych mężczyzn, tylko pracy i mnóstwa zajęć, żeby zapomnieć, jak to boli. Ja nie potrafię zapomnieć. Aż nie mogłam oddychać, kiedy zmieniałam ubranie na strój do biegania, choć to miał być dzień przerwy. Ale nie dało się odpocząć w dniu, w którym Noah ze mną zerwał. W ten dzień musiałam pobiegać, żeby nie zwariować. Bo moje myśli zwalniają tylko wtedy, kiedy to ja pędzę. Ale teraz nie mogę pobiec. Mogę się zmusić, żeby nie zerkać w stronę Henry’ego. Całe szczęście, że nie siedzi obok mnie. To byłoby fatalne. W żadnym razie nie mógłby siedzieć obok mnie, zasnąć i położyć mi głowę na ramieniu. Nie mam czasu na takie rzeczy. Noah ze mną zerwał, a ja mam swój cel. To proste. Jeden rok, jedna misja. Wszystko w Szkocji ma dla mnie termin ważności. Muszę to sobie ciągle powtarzać, żeby nie zapomnieć.

Uchylam powieki.

Nie, Henry się nie odwrócił.





## ROZDZIAŁ 3

### Emma

Z Frankfurtu do Edynburga leci się dwie godziny. Po niespełna sześćdziesięciu minutach wstaję, żeby pójść do toalety. Może przesadzam, ale nie wystarczają mi poruszanie palcami w sportowych butach czy nerwowe kołysanie stopą. Zwykle nie mam problemu ze spokojnym usiedzeniem na miejscu przez wiele godzin, nieczęsto jednak latam do Szkocji, żeby zostać nową uczennicą elitarnego liceum z internatem. Zastanawiam się, czy naprawdę jest tam tak, jak przedstawiono na niezwykle eleganckiej stronie internetowej szkoły. Uśmiechnięci uczniowie w mundurkach, którzy śpieszą gdzieś przez dziedziniec albo siedzą z podręcznikami na trawie. Nowocześnie wyposażone klasy w prastarych budynkach. Poczucie wspólnoty zamiast presji wymagań i konkurencji. W mojej szkole tak to nie wyglądało. Wielu uczniów niezbyt przejmowało się lekcjami, ale jeśli wierzyć opowieściom mamy, w internacie było inaczej. „Dunbridge zobowiązuje”. Dziwne powiedzenie, ale jakoś pasuje do mojego wyobrażenia o tej szkole. I o Henrym. Na pewno jest bardzo obowiązkowy, ale nie przesadnie

ambitny. Ja w każdym razie w drodze do samolotowej toalety postanawiam naprawdę się przykładać i jak najlepiej wykorzystywać czas w Szkocji.

Niestety jest tylko jedno przejście. W dużych samolotach na dłuższych trasach można prześlizgnąć się przez malutką kuchnię pokładową na drugą stronę rzędów siedzeń i zrobić w ten sposób parę rundek dookoła. Tutaj można jedynie pójść do toalety i wrócić, ale lepsze to niż nic.

Zamykam drzwiczki i wpatruję się w swoje odbicie w lustrze. Huczy mi w głowie. W jasnym świetle moje obcięte na boba włosy wydają się niemal białe. Wsuwam sobie kosmyk za ucho i włączam spłuczkę, choć wcale nie skorzystałam z toalety. A potem myję ręce, wycieram je sztywnymi papierowymi ręcznikami, które zamiast chłonać wodę, tylko ją rozmazują, i szarpnię się z zasuwką drzwi. Otwierają się do środka za pomocą skomplikowanego mechanizmu. Jestem nimi zafascynowana i za późno się orientuję, że tuż za drzwiami stoi Henry.

– Och, cześć – mówi, a jego głos w szumie samolotowych silników brzmi jakoś inaczej.

Uśmiecha się, ale wygląda na zmęczonego. Dopiero co się obudził, ma lekko opuchnięte oczy i splątane włosy, które wystają spod kaptura bluzy.

– Dobrze ci się spało? – pytam i natychmiast tego żałuję, bo teraz wie, że go obserwowałam.

Henry się waha, a potem jego uśmiech się zmienia. Wzrusza ramionami i ustępuje na bok, bo mijają go inna pasażerka. Nie rozumiem, co ona mówi, to szybkie, niezrozumiałe angielskie słowa, a Henry odpowiada tak samo. Nagle uświadamiam sobie, że przez kolejne dziesięć miesięcy będę żyć w obcym kraju. Kraju, który w jakiś sposób jest moją ojczyzną, ale nie oszukujmy się. Nigdy tam jeszcze nie byłam.

„To twój język ojczysty, władasz nim perfekcyjnie”. To głos Isi rozbrzmiewa w mojej głowie, a ja czuję skurcz żołądka. Mam angielskie nazwisko ojca i niemiecki akcent, bo nie używam

tego języka regularnie od jedenastego roku życia. Tyle właśnie miałam, kiedy ojciec odszedł. W niemieckiej szkole mogę brylować na lekcjach angielskiego, ale pytanie, skąd tak dobrze znam ten język, za każdym razem sprawia, że ściska mnie w dołku.

- Chcesz...? - pytam, żeby przerwać bieg swoich myśli. Wskazuję drzwi toalety, które zamknęła za sobą tamta kobieta.

Henry przenosi na mnie wzrok.

- Nie, ja... Chciałem tylko rozprostować nogi.

- Ach, rozumiem. - Przełykam ślinę.

- Denerwujesz się?

Ma ochotę na rozmowę. W tej małej kuchni na końcu samolotu. I ja to rozumiem. Czytałam, że największe prawdopodobieństwo przeżycia katastrofy lotniczej mają ci, którzy siedzą na samym końcu. Tja, siedzą... A my stoimy. I nie mamy zapiętych pasów. Muszę wyłączyć własne myśli.

- Nie - odpowiadam, choć właściwie chcę powiedzieć „tak”.

Henry kiwa głową, jakby to wiedział.

- Będzie super - mówi. Nie powinien się tak uśmiechać. To nie fair. - Wszyscy są niesamowicie mili. - Odwraca się nieco w bok i przykłada dłoń do ust, żeby ziewnąć. - Przepraszam...

- Jet lag? - pytam, a Henry przytakuje. A potem potrząsa głową.

- Nie, właściwie to nie. Nie straciłem całego dnia.

- A gdzie byłeś?

- W Nairobi - odpowiada. - To tylko trzy godziny różnicy. Ale to był nocny lot.

- Nie mogłeś spać?

Kręci głową.

- Obok mnie siedziała kobieta z malutkim dzieckiem na rękach i cóż... To było trochę męczące.

- A co robiłeś w Nairobi? - pytam i przesuwam czubkami palców po metalowych szufladach szafki obok. Są zdumiewająco zimne.

Henry śledzi spojrzeniem moją dłoń i przez chwilę nie jestem pewna, czy usłyszał moje pytanie. Ale potem odrywa wzrok i spogląda mi w oczy.

– Odwiedzałem rodziców. Pracują dla Lekarzy bez Granic.

Mówi to takim tonem, jakby powtarzał to setki razy. Tak, jak ja mówię, że prawie nie znam swojego ojca, bo odszedł, kiedy miałam jedenaście lat.

– Och, nieźle.

Henry kiwa głową i się uśmiecha.

– A co robisz twój?

– Moja mama jest adwokatką – odpowiadam.

Henry nie pyta o ojca. Dziękuję mu za to w duchu. Przygląda mi się przez moment, jakby rozumiał coś, czego nikt inny nie rozumie.

– Nie chciałaś, żeby cię odwiozła? – pyta.

– Do internatu? – Waham się. – Chyba tak – przyznaję. – Ale nie mogła. Ze względu na pracę jest w Nicei, a personel pokładowy we Francji strajkuje.

– Szkoda – mówi, a ja szybko wzruszam ramionami.

– Nie jest źle. – Uśmiecham się, ale Henry przygląda mi się tak, jakby nie do końca mi wierzył. – Okej, może troszkę źle, ale nie szkodzi.

– Właściwie to lepiej, bo nie będziesz się musiała z nikim żegnać.

Opiera się ramieniem o ściankę obok nas.

– To prawda.

Rzeczywiście z nikim się nie żegnałam. Nawet z Isi, która nie zaproponowała, że przyjedzie na lotnisko, co wydało mi się dziwne, bo gdyby moja najlepsza przyjaciółka wyjeżdżała gdzieś na cały rok, to ja bym tak zrobiła. Ale nie chciałam się kłócić, a poza tym lot był wcześniej rano.

– To dla mnie zawsze było najgorsze – stwierdza Henry. – Kiedy mama i tata odwozili nas wcześniej do internatu i potem odjeżdżali. Te pół godziny po tym... Nie za fajne. Dopóki

nie pójdzie się do swojego pokoju, nie spotka kumpli i nie zapomni, że jest smutno.

Pokiwałam głową, choć nie miałam żadnych kumpli, których mogłabym spotkać. W Dunbridge Academy nie ma nikogo, kto by mnie przywitał, i nagle czuję na tę myśl ucisk w piersi. Henry chyba umie czytać w myślach, bo od razu mówi:

– Mogę ci potem wszystko pokazać, jak już będziemy na miejscu. – Uśmiecha się. – Czasem mam ochotę znowu wejść do internatu tak, jakby to był pierwszy raz. To wszystko jest takie ekscytujące. Jakby się wracało do domu, nawet jeśli się jeszcze o tym nie wie.

Miałam co do tego pewne wątpliwości, bo nawet gdyby miał rację, to ja przecież i tak będę tam tylko rok. Właściwie powinnam była mu to powiedzieć, ale coś mnie powstrzymało. Może się bałam, że wtedy nie rozmawiałby ze mną tak, jakbyśmy byli w tej samej drużynie.

– Wszystko ci pokażę – powtarza Henry.

Nie odpowiadam, bo podchodzi do nas stewardesa.

– Proszę zająć miejsca, zaraz podchodzimy do lądowania.

Henry kiwa głową ze zrozumieniem. Obrzuca mnie spojrzeniem, a ja idę za nim do naszych miejsc.

Kiedy samolot obniża lot, czuję, że powoli ogarnia mnie niepokój. Zaraz koła samolotu dotkną pasa, a ja znajdę się w obcym mieście. I wtedy to wszystko stanie się prawdą. Moja nowa rzeczywistość.

Pasażerowie zrywają się z miejsc, gdy tylko samolot się zatrzymuje. Stojąc w przejściu, zasłaniają mi widok na Henry'ego, a kiedy i ja wreszcie wstaję i zabieram plecak, jego już nie ma. Oczywiście, że go już nie ma. Co ja sobie myślałam? Że zostanie moją nianią i poczeka? Z drugiej strony chciał mi pokazać szkołę i internat, wybieraliśmy się w to samo miejsce, więc można się było spodziewać, że na mnie poczeka, co nie?

Ruszam korytarzem i tworzę sobie w głowie listę spraw do załatwienia. To dość proste. Odbiór bagażu, potem do kontroli

paszportowej i na zewnątrz. Znaleźć autobus wahadłowy, który zbiera uczniów i uczennice z lotniska i zawozi ich do Dunbridge Academy.

Czy Henry też nim pojedzie? Pewnie wie, gdzie...

– Hej. – Jestem zaskoczona, kiedy widzę go na korytarzu prowadzącym do budynku lotniska. Począł. – Jesteś wreszcie.

Czuję, że moje policzki robią się ciepłe.

– Dziękuję, że poczekałeś.

– Pewnie. – Uśmiecha się, a moje mocno bijące serce się uspokaja.

Gdy śpieszymy przez lotnisko, dowiaduję się, że jest w szkole od piątej klasy i że w tym roku po raz pierwszy będzie przewodniczącym. Niewiele wiem o Henrym, ale uważam, że to do niego pasuje.

Kiedy z nim rozmawiam, w ogóle nie czuję, że znamy się za ledwie od dwóch godzin. I to dwóch godzin, które spędziliśmy w większości osobno. Bardzo łatwo jest go polubić i coś mi się w tym nie podoba. Muszę uważać, bo to może być dla mnie niebezpieczne. Henry jest miły, owszem, ale pewnie właśnie dlatego został przewodniczącym szkoły. Nie powinnam sobie niczego wyobrażać. Z pewnością jest tak samo miły dla wszystkich.

Kiedy czekamy przy taśmie na bagaże, wysyłam mamie krótką wiadomość, że wylądowałam. Waham się, widząc pod spodem korespondencję z Isi. Jednak klikam i wysyłam jej taką samą wiadomość. Moja najlepsza przyjaciółka i ja zwykle nie gadamy przez komórkę, co sprawia, że podczas wakacji mam często wrażenie, jakbyśmy się od siebie oddalały. Gdy widzimy się codziennie na lekcjach, to co innego. Wolę nie myśleć, co to oznacza na najbliższy rok.

Walizki moje i Henry'ego są jednymi z pierwszych, które się pojawiają, zapewne dlatego że zostały zapakowane do luku bagażowego na samym końcu. Henry wydaje się wręcz zaskoczony, że jego bagaż w ogóle nadążył za nim podczas szybkiej przesiadki.

Po przejściu kontroli paszportowej przypominam sobie, że zastanawiałam się, jak dojechać do internatu. Już mam zapytać o to Henry'ego, ale wchodzimy właśnie do sali przylotów. Henry przesuwa wzrokiem po oczekujących, jedna postać odrywa się od tłumu i już wszystko wiadomo.

Dziewczyna jest w naszym wieku. Gdy podbiega do Henry'ego, zauważam, że ma w sobie coś baśniowego i niezwykle eleganckiego. On puszcza walizkę. Zaraz potem ona wpada mu w ramiona.

– Hej – słyszę jego głos i odwracam wzrok, kiedy się całują.

Nie wiem dlaczego, ale nagle czuję się absolutnie zbędna.

Czyli ma dziewczynę. Prześliczną, z lśniąco-ciemnymi lokami i brązowymi oczami, które aż promienieją, kiedy na niego patrzy, a potem odsuwa mu kosmyk włosów z czoła i jeszcze raz go całuje.

– Przepraszam bardzo!

Cofam się przestraszona – obok przepycha się kilka osób. Robię im miejsce, a Henry łapie za swoją walizkę. Nie odrywa wzroku od swojej dziewczyny, nie rozumiem, co do niej mówi. Może z powodu lotniskowego hałasu, a może z powodu szumu w uszach.

Nagle uświadamiam sobie, że jestem w Edynburgu. Zupełnie sama, nikt mi nie towarzyszy. I nie ma też nikogo, kto by mnie tutaj przywitał tak, jak Henry'ego przywitała jego dziewczyna. Nawet ojca, który nie ma bladego pojęcia, że jestem w jego kraju i że będę go szukać. Zaciskam palce mocniej na rączkach walizek. Co ja tu w ogóle robię?

Nie chcę przeszkadzać Henry'emu i jego dziewczynie, ale jakoś nieładnie byłoby po prostu odejść i poszukać autobusu, tak jak miałam w planach. Kiedy obrzucam ich oboje niepewnym spojrzeniem, Henry akurat się ku mnie odwraca. Przez chwilę szuka czegoś wzrokiem, a potem mnie dostrzega.

Uśmiecha się tym swoim ciepłym, otwartym uśmiechem, którego nie powinnam błędnie interpretować.

– Grace, to jest Emma. – Ciągnie ją za sobą za rękę i podchodzą do mnie. – Będzie u nas przez rok na wymianie.

– Cześć, Emmo! Miło cię poznać. – Grace się rozpromienia, a ja nie wiem, co myśleć, gdy mnie obejmuje. – Serdecznie witamy.

Zaskoczona kiwam głową.

– Dziękuję.

– Jak się poznaliście? – pyta, ale w jej głosie nie ma cienia podejrzliwości.

– We Frankfurcie, oboje spóźniliśmy się na lot. – Henry wzrusza ramionami. – Już myślałem, że naprawdę nie zdążę.

– Na szczęście wszystko się udało. – Grace uśmiecha się do Henry’ego, a potem spogląda na mnie. – Też jedziesz autobusem, Emmo?

Waham się.

– Tak... Taki miałam zamiar.

Sięga po jedną z moich walizek.

– Super. Wezmę ci to, okej? Pan Burges pozwolił mi przyjechać, bo marudziłam mu, że muszę koniecznie zrobić Henry’emu niespodziankę. Autobus jest tak właściwie tylko dla uczniów, którzy mieszkają w internacie. – Marszczę brwi, ale Grace mówi dalej. – Uczęszczam do Dunbridge eksternistycznie. Mieszkam z rodzicami w Ebrington.

– To sąsiednia miejscowość – wyjaśnia Henry. – Większość uczniów z tej okolicy chodzi do szkół w Edynburgu, ale kto ma szczęście, dostaje miejsce w internacie.

Kiwam głową i ruszam za nimi. Zwykle nie nawiązuję tak łatwo kontaktów z nieznanymi, ale Henry i Grace nie dają mi odczuć, że jestem obca. Może rzeczywiście jest tak, jak mówiła mama. Że chodzenie do Dunbridge Academy oznacza dorastanie w otoczeniu mnóstwa rodzeństwa. Bycie częścią wspólnoty, i to takiej prawdziwej. Nie takiej jak w Liceum im. Heinricha Heinego. Myślę, że nikt z moich znajomych ze szkoły tak się nie czuł, cokolwiek mówiłby nasz dyrektor.



To była tylko szkoła i nic więcej. Miejsce, w którym człowiek męczy się cały tydzień, starając się być niewidocznym i nie zwracać na siebie uwagi. Musi być okropnie zostać nowym w mojej szkole. W każdym razie ja sobie nie wyobrażam, że można by tam od razu trafić na tak miłych i otwartych ludzi jak Henry i Grace.

A bez ich pomocy nigdy nie znalazłabym właściwej drogi. Idę za nimi niekończącym się przystankiem autobusowym przed lotniskiem, a serce zaczyna mi bić szybciej, kiedy dostrzegam pierwsze piętrowe autobusy. Nie są co prawda czerwone, jak w moich wyobrażeniach, tylko różowo-niebieskie, ale dzięki nim mam pewność, że naprawdę nie jestem już we Frankfurcie. Bus wahadłowy Dunbridge Academy to niewielki ciemny pojazd z białym logo szkoły, który z pewnością bym przeoczyła.

– Idziesz? – pyta Henry, kiedy się waham.

Grace rozmawia z kierowcą, który upycha walizki moje i Henry'ego do luku bagażowego, a potem wsiada do środka.

– Coś się płaci? – pytam zduszonym głosem.

Henryk przygląda mi się przez chwilę zaskoczony, a potem się śmieje.

– Nie, Emmo – mówi i bierze mnie za nadgarstek. – Jesteś mieszkanką internatu. Możesz śmiało wsiadać.

– Rozumiem – mamrocę, stawiając stopę na schodku.

Niemal wszystkie miejsca z przodu są zajęte. Henry pozdrowia uczniów i uczennice i kiwa im głową na powitanie. Przybywają do internatu z całego świata. Większość jest chyba zmęczona, jakby miała za sobą długą podróż jak Henry. Uśmiecham się do nich, kiedy przechodzimy na tył busa.

– Wszyscy, którzy przylatują na lotnisko, mogą uprzedzić internat, że chcą zostać odebrani – wyjaśnia Henry.

– Ojej... – Waham się. – Bo ja nie...

– Nie szkodzi – przerywa mi. – Przecież jest dość miejsca.

Kiwam głową i idę dalej za nim. Grace z dumą wskazuje tylny rząd siedzeń, gdzie zmieścimy się we trójkę. Co zdumiewające,

wcale nie wygląda na zirytowaną, a można by przypuszczać, że wolałaby usiąść teraz z Henrym tylko we dwoje. Żeby z nim bez przeszkód porozmawiać. Był u swoich rodziców, tygodniami się nie wiedzieli i na pewno mają sobie dużo do opowiedzenia. Ale nie robią tego. Pokazują na wszystkie strony, gdy tylko ruszamy, i wyjaśniają, którędy jedzie się do Edynburga, a którędy nad morze. Internat położony jest niecałe trzydzieści minut samochodem za miastem. Na początku intensywne zabudowa okolicy sprawia na mnie wrażenie szarej i ponurej. A potem opuszczamy miasto i jedziemy przez zielony, pokryty wzgórzami krajobraz. Tu bardzo szybko można zapomnieć, że Edynburg jest blisko. Szerokie pola, lasy, parę jezior i nic więcej. Dłuższy czas jedziemy wąską drogą wśród pustkowi.

– Za następnym zakrętem, tam na tym wzgórzu, po raz pierwszy zobaczysz internat – zwraca się do mnie Henry. Choć doskonale zna ten widok, wydaje się lekko podekscytowany. – Za każdym razem czuję się tak, jakbym wracał do domu – mruczy, odwracając się z powrotem do okna, a Grace przytakuje z uśmiechem.

Docieramy na szczyt wzgórza i skręcamy. Droga przed nami wije się doliną rzeki, która gdzieś w oddali wpada do morza. I wtedy widzę. Zabudowania dawnego klasztoru wraz z wielkim kościołem pośrodku, otoczone ciemnym murem. Z pełnych załamań dachów sterczą na tle nieba szpiczaste wieżyczki. Słońce lśni na gładkiej powierzchni małego jeziora, a w tle widać budynki sąsiedniej wioski.

– Wow – szepczę.

Henry kiwa głową.

– Prawda? – Zerka na mnie przez ramię. Te jego cholerne, intensywnie zielone oczy aż połyskują. – Witamy w domu, Emmo z Niemiec.